

Dr. A. WYLM.

KORALOWY RÓŻANIEC

1

Romans psychiczny.

I.

Siedziałem zamyślony przy kominku w swym gabinecie, śledząc bezwiednie oczami niebieskawym dym z papierosa, gdy przyniesiono mi wizytowy bilet młodego Leyre'a. Znałem go ze słyszenia: był to jeden z najwybitniejszych uczniów mojego długoletniego przyjaciela, profesora Durieux, chemika, który pracami swymi o fermentacji wina, zyskał sobie wszechświatową sławę. Młody Leyre obronił świetnie tezę o działaniu kwasu siarkowego przy uprawie wina i Durieux uważał go za następcę swego na katedrze chemii.

Mimo pewnego nieładu w mej toalecie — była dopiero ósma godzina rano — kazałem wprowadzić swego gościa. Przeczuwałem, iż będę miał do badania jeden z tych rzadkich niezwykłych wypadków, które zawsze tak bardzo zaciekawiają mnie i istotnie domysły me sprawdziły się; pan Leyre przedstawiał sobą materiały do obserwowania tak nieprawdopodobnych i zadziwiających faktów, jakich nigdy nie zdarzyło mi się spotkać w całej mej karierze lekarskiej. Sądząc po powierzchowności jego, nie można było przypuszczać tych fenomenów nerwowych, które go sprowadziły do mnie po poradę. Przypatrywałem mu się z pod oka, czytając list polecający, jaki przyniósł z sobą od profesora Durieux i widziałem przed sobą młodego wysokiego mężczyznę, silnie zbudowanego, o regularnych rysach, gęstych włosach i długiej czarnej brodzie. W czarnych oczach, rzucających śmiałe spojrzenia, czytać można było szczerść i prawość. Jednym słowem wywierał sobą nader dodatnie wrażenie. Durieux polecał mi go bardzo gorąco:

„Posyłam do Ciebie — pisał mi — dyrektora mego laboratorium, pana Leyre'a, który uskarża się na cierpienia nerwowe. Zbyt się może niemi przejmuję, gdyż nie zauważyłem w nim nic, co by mogło mnie niepokoić. Jest takim, jakim go zawsze znałem. W każdym razie zajmij się nim tak, jakgdybyś zajął się oddanym sobie Durieux“.

— Czem więc mogę służyć panu? — zapytałem swego gościa po przeczytaniu listu.

— Chciałbym usłyszeć pańskie zdanie, co do kilku wypadków nerwowych, które zagrażają mej przyszłości. Chodzi tu o uporczywe sny, zawsze jednakowe, a których nie mogę się pozbyć.

— Niech mi je pan opowie dokładnie — odpowiedziałem — nie opuszczając żadnego szczegółu. Proszę mi powiedzieć, kiedy te sny zaczęły się, jak i jakie okoliczności charakteryzują je.

— Opowiadanie moje, może będzie zbyt długie, jeżeli mam podać wszystkie szczegóły mych snów. Obawiam się być natrętnym.

— Proszę być o to spokojnym. Pańskie sny muszą mieć specjalny charakter, jeżeli tak pana niepokoją; mogę je ocenić tylko przez szczegółową ich analizę.

— Pozwoli mi doktor w takim razie powiedzieć, że zwracam się do pana nie tylko jako do lekarza. Te marzenia senne zamieniają mój sen w życie burzliwsze i bardziej męczące, niż czuwanie; zwierzyłem się z niemi memu profesorowi, który mi polecił udać się do pana. Doktor Heurtault, mówił mi, stał się specjalistą w badaniu rzadkich wypadków życia psychicznego i on jeden tylko może pomóc panu. Ulegając też przyjacielskim naleganiom swego profesora, przybyłem tutaj. Niech mi doktor wierzy, że sam nie odważyłbym się na wyznanie, które może nasunąć podejrzenia o mój zdrowy rozsądek.

— Przystąpmy do rzeczy i niech mi pan bez obawy wszystko opowie, gdyż Durieux musiał mieć powody, że pana do mnie przysłał. Proszę, niech pan zapali papierosa i zacznie opowiadać.

— Dziękuję, lecz nie palę. A oto moje senne przygody: W zeszłym roku w listopadzie, broniłem rozprawy na stopień doktora chemii. Uplętnęło więc od tego czasu już dwa miesiące. Rozprawa ta wymagała wiele pracy i musiałem przewertować sporo podręczników i dokonać długich i trudnych doświadczeń. Od trzech lat musiałem spędzać dużo czasu w miejscach, które fermentacja wina przesyca wyziewami alkoholu i eteru. Zawsze cieszyłem się doskonałym zdrowiem i nie przypominam sobie, bym miał kiedykolwiek jakie specjalne sny; skłonność do nich uwidoczniła się dopiero po moim doktor-

skim egzaminie. W kilka dni po obronie mej rozprawy udałem się na wypoczynek do Arcachon; nie pracowałem wcale, zachowując zupełny spokój; miałem dobry apetyt i czułem się doskonale. 28 listopada zrobiłem dość męczącą wycieczkę na przylądek Ferret; byłem bardzo zmęczony i po obiedzie położyłem się zaraz spać. W nocy miałem następujący sen.

Leyre zajął na chwilę do swego notesu, po czym mówił dalej:

— Ujrzałem, jak przechadzam się w wielkim lesie; była noc, powietrze zimne, niebo jednak tak jasne, iż mogłem postępować bez trudu. Po pewnym czasie doszedłem do domu jakiegoś, stojącego wśród ogrodzonego sztachetami parku. Oparłem się o te sztachety i machinalnie podniosłem oczy ku oknu, położonemu na pierwszym piętrze na prawym rogu. Pozostawałem tak we śnie z oczami utkwionymi w okno mniej więcej godzinę. Czułem się jakby zahipnotyzowany i mimo znacznych wysiłków, nie mogłem zmienić kierunku swego wzroku. To widzenie było nadzwyczaj przykre i trwało do samego obudzenia się. Spojrzałem na zegarek, była trzecia godzina rano. Tak byłem przejęty uczuciem, jakby sparaliżowania, iż nie mogłem już potem usnąć. Głowa mi ciążyła, w karku zaś odczuwałem dość silny ból. Stan ten trwał aż do śniadania, potem zwolna ustąpił. Nie myślałem więcej o swym śnie; w ciągu dnia zrobiłem wycieczkę do Cazaux, gdzie przyglądałem się stawowi. Byłem dość zmęczony i położyłem się spać, tak, jak poprzedniego dnia, zaraz po obiedzie. Miałem znowu ten sam sen, przechodziłem przez ten sam las, widziałem ten sam dom; również oparłem się o sztachety i pod jakimś nieprzewidywanym przymusem przypatrywałem się temu samemu oknu. Chciałem walczyć z tą siłą, która unieruchomiła moje spojrzenie i członki i sprzeciwiała się wszelkiemu ruchowi. Czyniłem najrozmaitsze wysiłki, by odwrócić głowę, by wyrwać się z pod tej hipnozy, wszystko jednak było daremne; zjawisko to ciągnęło się przeszło godzinę i znikło dopiero przy obudzeniu się. Czułem się bardzo ociężały, miałem znowu ból głowy i karku. Wstałem dopiero w południe; popołudniu przeszedłem się trochę, zjadłem lekki obiad, spać się zaś położyłem późno. Sądziłem, że widzenia moje z 28 i 29 listopada pochodziły ze złego trawienia, lecz sen mój powtórzył się i tej nocy i był zupełnie taki sam. Nauczony doświadczeniem, nie starałem się już odwrócić oczu od tego okna; po upływie dość długiego czasu, około godziny, spostrzegłem w swym śnie, że odzyskałem swobodę ruchów. Po raz pierwszy mogłem iść; wracałem tą samą drogą i obudziłem się w chwili, gdy był jeszcze w lesie koło wielkiego dębu, przy którym stała mała chatka. Już ją zauważyłem, gdyż sen mój zaczyna się właśnie od tego miejsca, zawsze znajduję się koło tej chatki, gdy widzę się w lesie. Jednym słowem od 28 listopada mam co nocy ten sam sen: każdą noc przebywam oparty o sztachety, nie mogąc zmienić kierunku swego wzroku. Nie próbuję już opanować swej bezsilności, przekonałem się bowiem, iż te starania wywołują na drugi dzień migrenę, gdy zaś nie czynię żadnych wysiłków, nie doznaję potem żadnego bólu. Boję się jednak, czy to uczucie sparaliżowania we śnie nie zwiastuje przypadkiem jakiego porażenia oczu. Czytałem bowiem, że pewne choroby ukazują się nieraz we śnie, zanim ujawnią się w rzeczywistości. Pragnąłbym, by mnie doktor zbadał szczegółowo i wyjawiał mi szczerze cały mój stan.

Przystąpiłem istotnie do dokładnego zbadania pana Leyre'a. Nie znalazłem żadnej niedokładności, ani w krążeniu krwi, ani w oddychaniu, ani w czynnościach żołądka; mięśnie jego poddane prądowi elektrycznemu nie wykazały żadnej degeneracji; przewody nerwowe doskonałe; oko nie zdradziło żadnych symptomów patologicznych. Pan Leyre był pod względem fizycznym w doskonałym zdrowiu. Zacząłem potem egzamin czynności psychicznych, który trwał bardzo długo i był nader skrupulatny, nie odkryłem jednak żadnego braku ani w uwadze, ani w pamięci, ani w woli, ani w władaniu mową.

— Stan pański jest, jak może tylko być, najlepszy — rzekłem mu — i nie widzę w panu nic patologicznego, chorobliwego. Niepokój zaś nocny poddamy specjalnej obserwacji. Podejrzewam, że i Durieux zaniepokoił się tem, gdyż on zna me prace i wie, co mnie zajmuje; sądząc, jak i on, że w tym przypadku można poczynić wiele nader ważnych spostrzeżeń. Powróćmy do pańskiego opowiadania. Pierwszy sen miał pan 28 listopada. Czy nie przypomina pan sobie, czy nie doznał pan dnia tego jakiegoś szczególnego uczucia?

— Nie.

— Może zdarzył się panu jakiś wypadek?

— Również nie.

— Może jednak doświadczył pan czegoś niezwykłego? Niech pan cofnie się pamięcią do tego dnia.

— Nie, nie sobie nie przypominam żadnego.

— Uważam wobec tego, iż może pan zupełnie nie trwożyć się tym uporczywym snem. Niech pan ograniczy się tylko do notowania skrupulatnego wszystkiego, co się zdarzy, niech pan nie lekceważy żadnego szczegółu; nigdy nie zna się znaczenia, jakie następnie może mieć fakt, napozór zupełnie błahy. Niech pan mnie o wszystkim powiadomi. Na zakończenie jedną tylko dam radę, a mianowicie: nie sprzeciwiać się tej sile, która, jeżeli panem nie kieruje, to przynajmniej obezwładnia pana w pewnych pozycjach. Sam już pan spostrzegł, że ten opór jest bezkrotny i szkodliwy, należy więc go zaniechać. Mówię to tylko w tem przypuszczeniu, iż pan w tym śnie zachowa tyle władzy nad sobą, by sobą władać świadomie.

Potem pożegnałem Leyre'a i zająłem się swą pracą. W jego przypadku nie widziałem tych czynników tajemniczych, które mnie pobudzają zawsze do gruntownego ich poznania.

Na drugi dzień otrzymałem od niego list: przyniósł on mi ten czynnik tajemniczy, o którym wspominałem. Brzmiał on następująco:

„Szanowny Panie!

Zapytywał pan mnie wczoraj, czy nie zdarzyło mi się coś ważnego 28 listopada, tj. dnia, od którego datują się moje sny. Odpowiedziałem panu przecząco i dopuściłem się błędu, który wykazał mi mój ostatni sen. Znalazłem się jak zwykle w lesie, o którym mówiłem, koło chatki stojącej pod wielkim dębem. Szedłem dość szybko, gdy nagle spostrzegłem przed sobą różaniec z czerwonych koralów. Podniosłem go i ruszyłem dalej. Odbyłem swój zwykły postój koło sztachet, po czym sen mój skończył się bez żadnego wypadku. Otóż 28 listopada znalazłem istotnie na przylądku Ferret na nadbrzeżnym piasku różaniec z czerwonych koralów“.

List ten obudził moją ciekawość. Czy istnieje jakaś niewytłomaczona łączność między tym snem, a różanicem koralowym. Jako lekarz nie mogłem odkryć żadnej, jako metapsychik pozostałem w wątpliwości. Wieczny konflikt, jaki dzielił moją własną myśl, wzmógł się znowu i czułem w sobie pewnego rodzaju rozdwojenie siebie. Jeden ja wzruszał ramionami i drwił z łatwości drugiej ja: „oto do czego doszedłeś, zdawał się mówić: będziesz teraz sądził, iż starczy, aby młody chemik znalazł koralowy różaniec, a zacznie śnić po nocach, jak jaka histeryczka! Jakież związanie możesz znaleźć między temi dwiema rzeczami? Czy masz w nauce jakiś równoznacznik? Prawda, że nie? Czy możesz odkryć sprawczą przyczynę snów w ziarnkach różańca? Również nie! Jesteś tylko wobec dwóch faktów współistniejących, nie związanych jednak z sobą niczem“.

Tak zaatakowane moje drugie ja, nie złożyło broni, lecz walczyło: „Nie mam tej pewności co ty, nie mówię, że różaniec spowodował te sny, nie twierdę, że istnieje jakaś łączność między tymi faktami, nie bardzo ufam swej wiedzy, niczemu jednak nie przeczę z góry, a wszystko uważam za możliwe. Uwierzysz, że ten różaniec mógłby łatwo zarażać kogo suchotami, gdyby go przedtem używała osoba chora, a przecież na nim nie widzisz okiem zarazków, musisz dopiero użyć do tego mikroskopu: przynajmniej więc, że istnieją w świecie rzeczy niedostrzegalne dla naszych prostych i grubych zmysłów, nie możesz tedy zaprzeczyć, że mogą być i takie siły, których działanie poznajemy tylko przez ich skutki. Może nadejdzie taki dzień, że wynaleziemy taki instrument, który będzie nam okazywał ich czynność“.

Długo możebym jeszcze był obecny przy sporze mych dwojga osobowości, gdybym nie opanował siebie i nie zakończył tych myśli napisaniem do pana Leyre'a listu z prośbą o przyniesienie mi tego różańca.

Na drugi dzień pacjent mój zjawił się u mnie. Poprosiłem go, by opowiedział mi swój ostatni sen i znalezienie różańca. Natychmiast zadość uczynił mej prośbie.

— Do tego znalezionej różańca nie przypisywałem żadnej wagi i nawet nie wspominałbym o nim panu, gdyby nie zjawienie się jego w moim zwykłym śnie. Po wyjściu od pana udałem się do laboratorium i zająłem się pracą. Dzień cały minął mi bez żadnego zdarzenia, nie przywołać ani na chwilę wspomnienia tego różańca. Zapomniałem o nim jako o nic nie znaczącym fakcie. Położyłem się spać o jedenastej godzinie i zasnąłem z myślą o swym